

— Nie wiem, nie wiem! Ojcie, nie przeklinaj! Już się skończyło! Już się wszystko skończyło!

Odwrocił głowę nieprzytomny z gniewu i wstydu i nagle ramię jego wyprężyło się silnym rozkazującym gestem.

— Precz! Precz z mego domu! Nie chcę cię znać!

Głos jego stłumiony, ochryply, przechodził w jęk spazmatyczny.

— Precz, nędznico!

Silne ramię popchnęło ją na ulicę. Lecz w tejże chwili z górnego piętra dobiegł ją krzyk rozpaczliwy. W głębi przedpokoju ukazała się postać starszki, drżąca i wylekniona.

— Boże mój drogi! — zawołała wzruszona — zdaje mi się, że poznałam głos naszej małej. Co się tu stało?

— Co się stało, matko! — odpowiedział komentant głosem już zrównoważonym i spokojnym — Stało się, że od tej chwili nie mamy dziecka, a na ulicy będzie o jedną dziewczynę więcej. — I drzwi zatrzasnęły się z głuchym łoskotem.

Luiza z trudem podniosła się z chodnika, w mózgu czuła chaos graniczący z szaleństwem. Wpatrzyła się upornie w dom, który na zawsze zamknął się dla niej, poczem z dreszczem lęku i zgrozy spojrziała na ulicę tego miasta, które miało odtąd być jedynym jej schronieniem.

— Jestem na ulicy! Na ulicy! — powtarzała beładnie, idąc wzdłuż ciemnych i cichych domów, prosto przed siebie, bez celu!

Morderca.

Andrzej Delrue szedł ulicą Vinaigriers, pustą o tej porze nocy.

Przy ujściu starego kanału, skręcił w boczną uliczkę, wąską i ciemną. Zatrzymał się przed niskim, odrapany domkiem, nad którym wisiał wypłowiały szyld, oświetlony czerwonym światłem latarki. Był to „Hotel Ambasadorów“. Delrue wszedł do tego domu pewnym, śmiałym krokiem. Gdy wyszedł z niego po godzinie, towarzyszył mu człowiek o podejrzanej powierzchowności, w kaszkiecie nasuniętym na oczy. Szyję miał okręconą szerokim, czerwonym fularzem.

Obydwaj mężczyźni skierowali się w stronę dzielnicy Temple. O kilkanaście kroków przed nimi szła ociężałym, zmęczonym krokiem smukła postać kobieca, wyglądająca na robotnicę powracającą z późnej roboty.

— No, a wiele ja zarobię, mój mały? — zapytał nagle grubym, powolnym głosem towarzysza Andrzeja Delrue. — Taka robota płaci się dobrze.

— Cicho bądź, Kudłacz — szepnął Delrue, wskazując kobietę idącą przed nimi.

— Dobrze, pogadamy później. Ale wiesz, to musi być jasne jak złoto, bo inaczej nic z tego. Z rączki do rączki, rozumiesz, równa zapłata.

— To tutaj — rzekł po chwili milczenia Delrue — na rogu ulicy Maur. Ten dom.

Nagle przystanął zaniepokojony. Młoda kobieta zatrzymała się właśnie przed domem wskazanym i dzwoniła. Delrue, pochylony naprzód, całą siłą natchnienia patrzył, chcąc spojrzeniem przebić ciemność nocy. Po chwili ostrzegająco położył rękę na ramieniu Kudłacza. Młoda dziewczyna odwróciła się i blask latarni stojącej przed domem oświecił jej twarz. Delrue stłumił w sobie okrzyk zadowolenia.

— A to szczęście! To właśnie ona! Panna Janina le Brenn naraża się na niebezpieczeństwa, chodząc tak sama po nocy, nie uważasz, Kudłacz! No, dalej nie namyślaj się! To ona!

Włóczęga szybkim ruchem włożył rękę do kieszeni i wyjął przedmiot jakiś błyszczący. Już miał skoczyć ku wskazanej mu ofierze, gdy przypomnienie jakiegoś zatrzymało go w miejscu.

— Ależ idźże — mruknął Delrue — Niema wątpliwości! To ona! Prędko, bo drzwi otworzą!

— Wiele? — odpowiedział Kudłacz. — Nie ruszę się, póki się nie dowiem, czy gra warta świeczki. Taki kawałek to grozi „wdową“, wiesz? Stawiam własną głowę.

— Dwa tysiące.

— Mało!

— No, więc trzy.

— Dobrze! Już zrobione.

Zebrał się do skoku i rzucił naprzód. Ale już było za późno, drzwi otworzyły się, przepuszczając młodą dziewczynę i zatrzasnęły przed nosem mordercy, który zaklął z wściekłości.

— Przegrane na ten raz — mruknął przez zęby — Spróbujemy raz jeszcze. Mam czas!

Powrócił do towarzysza, który nie mógł przez kilka minut głosu wydobyć z gardła, zaciśniętego wzruszeniem.

— Widziałeś ją dobrze? Poznasz? — wyszeptał wkońcu z trudem.

— Niebardzo.

— To nie. Czekajmy dnia. Chciałem ci tylko dom wskazać. Jak tylko rankiem wyjdzie, pójdziemy za nią i będziesz mógł się jej przypatrzeć do woli.

— A no, to czekajmy... Ale sam sobie jesteś winien. Targujesz się, jak żyd! Jaka płaca, taka praca!

Janka le Brenn, znalazłszy się w swoim pokoiku, zapaliła świecę i usiadła na łóżku. Nie płakała już, tylko od czasu do czasu dreszcz nerwowy wstrząsał jej wątłym ciałem. W mózgu jej kołatała się tylko uporczywie myśl jedna! Opuścić jak najprędzej zajmowane dotąd mieszkanie i zniknąć wszystkim na zawsze z oczu, w tem olbrzymim mieście, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów. Żałowała teraz, że ulegając pierwszemu wrażeniu, napisała do markizy de Kermor, bo jeżeli markiza odgadnie powód jej nagłego zniknięcia? Jeżeli Henryk o tem się dowie? A może markiza będzie chciała ją odszukać, przyjdzie do niej sama i wyczyta z jej oczu tajemnicę, którą tak gorąco pragnie ukryć przed światem? Nie miała innego wyjścia, tylko schronić się do innej, oddalonej dzielnicy, gdzie jej nikt nie będzie mógł odnaleźć.

W dzielnicy Chateau d'Eau zauważyła, przejeżdżając omnibusem, nowy, czysty domek z wystawioną tabliczką „skromne pokoje do wynajęcia“. Tragarz na wózek zabierze jej nieliczne mienie i już będzie spokojna.

Postanowienie to dodało jej otuchy. Zerwała się z łóżka i zaczęła składać i zbierać porozstawiane drobiazgi i rzeczy.

Na małej komodzie, oprawne w pluszowe ramki, stały fotografie jej zmarłych rodziców.

Wzięła je w ręce i nagle ogarnęło ją tak silne wzruszenie i żal za nimi, iż osłabła rzuciła się bezwładnie na krzesło, łkając cicho. Postać ojca, Iwona le Brenn, mechanika okrętowego, który zginął na morzu, jak żywa stanęła teraz przed oczyma jej wyobraźni. Jakże długo opłakiwały go z matką, łagodną i cichą istotą, którą wkońcu zmogły cierpienia i lzy. Pamięta, gdy powróciwszy raz z cmentarza, usiadła na progu domku swojego, jedynej pozostałości po rodzicach, i płacząc gorzko, usłyszała łagodny głos mówiący do niej:

— Biedne dziecko! Biedna sierota!

Podniosła oczy. Przed nią stała pani ze zamku, markiza de Kermor, którą cała okolica uwielbiała za dobre serce i dobrodziejstwa, udzielane ubogim.

Zabrała ją z sobą do Paryża, gdzie początkowo umieściła w magazynie haftów ręcznych, a następnie zatrudniła u siebie w pałacu. Wkrótce stała się powiernicą, prawie przyjaciółką markizy. Jednakże Janka z wrodzoną jej dumą sama pragnęła zaznać przedziału dzielący ją, biedną robotnicę, od właścicieli pałacu i pomimo nalegań swojej opiekunki, zamieszkała osobno. Janka przeprowadzając ten zamiar, powodowała się i drugą przyczyną. Od pierwszej chwili przybycia do pałacu zauważyła, że młody hrabia Henryk zwraca się do niej z szczególniejszą sympatią i zainteresowaniem, a odkrycie to napełniło ją instyktownym lękiem, tembardziej, iż czuła, że urok, jaki wywiera na nią syn markizy, wzrasta z dniem każdym.

Upłynęło kilka miesięcy, potem nastąpił wyjazd Henryka do Afryki, oczekiwanie w tęsknocie skrytej i niepokoju, a teraz nagły jego powrót i tak okrutne rozwianie wszystkich jej marzeń serdecznych, które było równocześnie nagłym objawem miłości, wybuchającej z całą potęgą i siłą. Szary dzień, zaglądający przez okno, obudził ją z bolesnego marzenia. Budzik wskazywał już godzinę ósmą. Markiza de Kermor mogła lada chwila przysłać z zapytaniem o nią. Ubrała się spiesźnie i zeszła na ulicę, skąd udała się do dzielnicy, gdzie znajdował się zauważony przez nią domek. Wynajęła pokój i w godzinę później zawołany tragarz przeniósł jej rzeczy wraz z maszyną do szycia i komódką, pamiątką po matce.

Było to całe jej bogactwo, bo gdy opłaciła należność za mieszkanie i przeprowadzenie, spostrzegła, że pozostaje jej zaledwie piętnaście franków w portmonetce.

Oszczędności swoje kilkomiesięczne, do których od czasu do czasu markiza dyskretnie dodawała parę sztuk złota, pozostały w pałacu zapomniane, złożone w biurku jej opiekunki. Jednakże trzeba było żyć dalej i znaleźć czempredziej jakie zajęcie. Nie zwlekając, urządziwszy na prędce pokój, Janka wybrała się na poszukiwanie. Na rogu jednej ulicy przeczytała ogłoszenie: „Szycie wyprawek i bielizny, ulica Temple nr. 78. — poszukuje się zręcznych pracowników dziennych i wieczornych“.

Serce Janki zabiło radością, wiedziała, że jest dobrą i zdolną pracownicą, a wieczornego czuwania nie obawiała się wcale. Pobiegła więc szybko w stronę ulicy Temple.

Gdy powróciła, dwóch mężczyzn stało przed domkiem, przez nią zamieszkałym. Był to Andrzej Delrue i Kudłacz, którzy śledzili ją od pewnego czasu.

— Widziałeś ją dobrze? — zapytał Delrue — Teraz nie mógłbyś się już pomylić.

— Bądź spokojny! Sprawa twoja jest pewna!

— Za trzy dni przyniosę ci trzy ładne banknoty.

— Za trzy dni! Widzę, że ci bardzo pilno! Ale niech tam. Wezmę do pomocy Barykadę.

— Co to za jeden? — zapytał niespokojnie Delrue — po co go mieszać w nasz interes?

— Barykada z kanału, to postrach całego przedmieścia św. Mateusza, mój kolega. Ja bez niego nic nie zrobię, żebyś wiedział!

Delrue był niezadowolony z tego drugiego wspólnika.

— No, decyduj się prędko — rzekł Kudłacz — właśnie nadchodzi, doskonale się składa.

Na rogu ulicy ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu i postawy. Szeroką, czerwoną twarz jego okalał gęsty, rudy zarost. Szedł wielkimi krokami, ciężko stawiając nogi na asfalcie. Obok niego biegł mały, nędzny chłopak, w wystrzępionych spodniach i dziurawych butach, trzęsąc się i kuląc od zimna.

Delrue spojrział uważnie na przybywającego i zaniepokoił się jeszcze bardziej.

— A! niech się dzieje co chce! — westchnął. — Zgoda, Kudłacz, bierz go do spółki.

— Dołożysz dwa papierki.

— Dobrze.

— I przyniesiesz je w piątek wieczorem do Ambasadorów. Inaczej źle może być z tobą, pamiętaj! Z Barykadą żartów niema.

Po oddaleniu się Andrzeja Delrue, Kudłacz z Barykadą ruszyli brzegiem kanału.

— Toto — rzekł Kudłacz, popychając chłopca naprzód — uważaj na policję. Mam do pomówienia z kolegą.

Nocna napaść.

Delrue przeżył trzy dni w śmiertelnej trwodze i oczekiwaniu. Widok dzienników napawał go nerwowym drżeniem, ale jak dotąd nie wyczytał w nich fatalnej, a radosnej wiadomości. Delrue był wściekły. Czyżby Kudłacz stchórzył w ostatniej chwili?

Gdy nadszedł piątek, wieczorem uczuł, że gorączka niezdrowa pali jego ciało. Kiedy opuszczał pałac Kermorów z radosną ulgą, że za parę godzin dowie się o wszystkim, Henryk zatrzymał go w przedpokoju i rzekł z nienaturalną wesołością.

— Andrzeju! Musisz mi poświęcić noc dzisiejszą. Zabieram cię z sobą. Zjemy razem obiad w restauracji, a potem zwiedzimy zapomniane już przeze mnie zakątki Paryża. Chcę skorzystać z krótkiej mojej wolności.

— Ho! ho! Co za zamiar chwalebny! — zaśmiał się z przymusem Delrue.

Ah! mój drogi — rzekł nerwowo Henryk — byłem badaczem sfer południowych, dlatego nie mam zbadać tajemnic tego nocnego Paryża i czynić poszukiwań w miejscach nieznanach mi i niebezpiecznych.

Byli już na ulicy i Delrue z boku przypatrywał się zmienionej twarzy przyjaciela. Udana jego wesołość nie oszukała go.

— Cierpi! — pomyślał — A więc dobrze, kochany Henryku, ale pozwolisz, że ja będę twoim przewodnikiem.

— Andrzeju! — odpowiedział gorączkowo młody hrabia. — Chcę być na balu w Montmartre, na tych balach...

— Bywała często panna Janina le Brenn, tak, to ciekawy widok. Typowy bal gryzetek, robotnic i studentów.

— Mówiłeś mi również, że na brzegach kanału znajdują się nocne kawiarnie.

— Miejsce nie jest bezpieczne. Znane z nocnych napaści.

— Mam kutą laskę, to mi wystarczy. Słuchaj Andrzeju! — szepnął Henryk, nie panując już nad sobą. — Ty wiesz, kogo tam szukać pójdziemy, domyślasz się? Od kilku dni żyję w straszliwej męce! Nie chcę sobie źle tłumaczyć nagłego zniknięcia Janiny le Brenn... a jednak, gdy pomyślę o tem, co mi raz mówiłeś, że ona tam chodziła, że...

— Ależ, Henryku, powiedziałem ci tylko, że widziałem ją raz tańczącą na balu w Halach. Oto wszystko.

(Ciąg dalszy nastąpi).